

Katarzyna Anna Urbanowicz

Cień z latarką w ręku

(Ali, która Go widziała)

Droga przez wieś rozpływała się w sennych jeszcze oczach. Pod świeżym śniegiem wyczuwała butem zamrożoną ślizgawkę. Tylko na wschodzie niebo odrobinę pojaśniało; dookoła była jeszcze mroźna noc, choć w powietrzu sączyły się pierwsze dymy rozpalanych kuchni. Swąd rozdmuchiwanym palenisk napływał czasami silniej i powietrze pachniało wtedy stygnącym żużlem, ciskanym na oblodzone ścieżki przed domami. O dwa domy dalej zapał kogut i potem kolejno, jakby oddalając się od niej, piał inne koguty w okolicy budząc w następnych wsiach coraz dalsze i dalsze. Świt pełzył w poprzek drogi, ignorując ludzkie podziały i ludzkie nazwy miejsc.

Ciemna chmura nasunęła się na księżyc i pociemniało w oczach, gdy zabrakło nikłych światełek w obejściach. Za wsią czekały ją dwa zakręty, z kilometr prostej drogi i dalej, wśród pustej przestrzeni, okolonej niknącym we mgle rzędem lasów, na tle nieba widoczny narys ciemnej jeszcze gospody.

Dopiero, gdy dojdzie do niej, zapali wszystkie światła na sali, w piwnicy wypełnionej beczkami z piwem i w kuchni, ściereczką zetrze stoły i poprawi na nich plastikowe kwiatki, a pety z popielniczek wrzuci pod płytę, zimny budynek stanie się miejscem przyciągającym myśli wszystkich: tych, co idą do pracy marząc o popołudniowym piwku; żon krzątających się przy paleniskach z natrętnym pytaniem w rozkuśniętych porankiem głowach — czy dzisiaj, tak jak wczoraj i tylu poprzednich dni, dla ich męża gospoda będzie bliżej niż dom; dzieci, które wracając ze szkoły wpadały tam na chwilę z nadzieją, że podochocony tatuś może postawi colę, aby tylko nie mówić mamie.

Zmieniła dziś uczesanie. Włosy kręcone, jak kozuch barana akurat jak teraz to modne związała za uchem z jednej strony, podmalowała oczy niebieską,

perłową kredką, założyła sukienkę z różowego jedwabiu rozszywaną czerwoną koronką i klipsy błyszczące wielkimi, złotymi kołami.

Ona jest panią gospody. Gospoda jest jej domem. Ma wszystkich mężów, nie mając żadnego; jej uśmiech pod napisem „alkohol szkodzi zdrowiu” nawet wtedy, gdy odmawia komuś podania wódki, jest pewny siebie, uprzejmy i łagodny. Zna ludzi i zna życie, wie, co robić, aby ją szanowano. Nie jest specjalnie brzydka, ani specjalnie ładna, w sam raz. Jest pewna siebie i swego.

Ma zabawę, gdy czasem zajdą tu turystki. Wejdą, zamówią pepsi, lub oglądając się na wszystkie strony, czy kto nie widzi, piwo, a gdy wtoczy się grupa hałaśliwa i bitna, patrzą tylko, jak szybciej wypić, to, co kupiły i zmykać. Wiadomo, miastowe. Tam zaczepiają. Tutaj nie, chyba, że ktoś się sam o to prosi.

Teraz, kiedy oczmuchała się już trochę, szło się przyjemniej. Oczy patrzyły bystrzej, nozdrza łowiły inne zapachy. Las już pachniał wiosną, mimo śniegu i lodu, podobnie jak jej piersi z rana.

Ostatni dom z żarówką nad wejściem pozostał w tyle, a jej cień wydłużył się monstrualnie. Machnęła jedną, potem drugą ręką. Cień też machnął. Wyciągnęła dłoń wdzięcznie w górę, zręcznie powiewając urojoną chusteczką. Cień też żegnał kogoś odpływającego na daleką, morską wyprawę.

Przypomniała sobie taką piosenkę w teatrze, gdzie zabrali ją ze szkołą, o dziewczynie, która zmywa kufle, ale do czasu.

Aktorka w długiej spódnicy śpiewała zachrypniętym głosem:

„Wtenczas okręt

O siedmiu żaglach

i czterdziestu armatach...”

Nagle na końcu palców cienia błysnęła latarka. Wzdrygnęła się. Przycisnęła rękę do siebie, ale wydłużony cień nadal trzymał latarkę, tylko tym razem świeciła ona w środku. jego postaci, niczym serce ducha, wielkie,

straszne i jaskrawe. Stała przerażona i cień też stanął, a blask latarki ogromniał i więził wzrok niczym zaczarowany wąż.

Dopiero po długiej chwili minął ją samochód, którego blask świateł, zbyt odległy, by rozjaśnić śnieg na drodze, wystarczył jednak do tego, aby odbity w przydrożnym słupku, zapalić latarkę w ręku cienia.

Ruszyła dalej. Wyobraziła sobie że w samochodzie siedział ktoś, . kto jechał już od paru godzin; zjeżdżając do wsi od strony przełęczy, zwykle nieprzejezdnej w zimie. Wewnątrz było ciepłutko, radio nadawało nocną muzykę, a on, kierowca tego samochodu, widząc przed sobą jej cień, zapalił w jego ręku latarkę, która miała wskazać jej drogę. Zapalił latarkę i pojechał. Wiedział, że już nikt nigdy tej latarki nie zapali dla niej W lecie było widno, gdy szła do gospody, a normalnie, zimą nie nadjedzie stamtąd żaden samochód. (chyba, że dziś, gdy nagły wybuch styczniowej wiosny stopił przedwczoraj śniegi na przełęczy.

Rozpalając pod kuchnią i stawiając gary z wodą, która zagotuje się akurat w porze, gdy trzeba nastawić ziemniaki i zupę; .krzątając się po kuchni, w której nie było jeszcze nieznośnego południowego żaru, a woda z pękniętego kolanka nie zdążyła nadać posadzce śliskości, o której nieustannie trzeba pamiętać. w najgorętszych godzinach dnia, wiedziała, była pewna, że to ona jest panią w gospodzie, a jednak nie czuła już, że sala z. rzędem kufl i plastikowymi kwiatkami jest. domem dla tych, którym we własnych domach źle. Trudno, żeby im było dobrze, kiedy jej tak nie jest.

Jej uśmiechnięta twarz pod napisem „Sprzedaż piwa od 10-ej do 20-ej” odbita w lusterkach półek, wydała się rozciągniętą głupim grymasem twarzą smerfetki, a gwar rozmów i przekleństwa, które nadejdą wieczorem, wszystkie, doskonale jej, znajome twarze z tej wsi t z dalszych - męczące i nudne, głupie i złe.

Coś przeszło obok niej, odebrało cieniowi. latarkę, zostawiło duże okno bez firanek, gdzie wokół futryn odpryskiwał tynk, szare i puste. Nic nie czekało

ją oprócz nużącej pracy i końca dnia. Tyle miesięcy już tędy chodzi, a dopiero pierwszy raz ujrzała cień. Pierwszy i zapewne ostatni raz przytrafiło się jej coś po drodze; co, czuła, znaczy o wiele więcej, niż mogła to teraz odgadnąć. Przytrafiło się i przeszło, było i minęło.

Wczorajsze pety śmierzdziały, gdy wyrzucała je do kubła z węglem, podobnie ścierka do zmywania stołu, niedokładnie przed nocą wypłukana, a on, sąsiad z przeciwka, zamienił z nią wczoraj w sklepie tylko jedno obojętne zdanie.

Rzadko przychodził do gospody; na próżno myśląc o nim uszyła sobie różową sukienkę z wstawkami z czerwonych koronek, choć wolałaby czarne, ale tylko takie były w sklepie. Choć nie miał żony ani dzieci, widocznie mu to nie przeszkadzało, . bo ani na nią nie spojrział, trudno się dziwić, w sklepie okutana w stare palto, w botkach porysowanych grudami śniegu, w szaliku naciągniętym na nos, nie mogła przyciągnąć niczyjego spojrzenia.

Wyobrażała sobie go zawsze z rana że będzie pierwszym gościem w gospodzie. Oprze się o blachę bufetu, poprosi ją o porcję kiełbasy nakrapianej musztardą, ona mu zaproponuje coś innego, zaparzy herbaty, powie coś nieważnego, a może, gdyby to -miało stać się dziś, opowie o cieniu z latarką.

Za wielkim oknem bez firanek pojaśniało tak, jak może. rozwidnić się w pochmurny dzień, nie na tyle, żeby rozweselić sztuczne kwiatki, ale wystarczająco, by dostrzec smugi kurzu na półce, gdzie jeszcze wczoraj leżały ostatnie paczki wafelków.

Do wieczora nie spotka już ją nic, co warto by zapamiętać. Może być już tylko zmrok, koniec dnia, mycie i sen.

Skrzypnęły drzwi, buty na schodach tupwały otrząsając błotnisty śnieg, powiew wiatru zaszeleścił sztywnymi koronkami sukni. Gęsia skórka, którą pokryło się jej ciało od nagłego chłodu, znikła nagle ustępując miejsca gorączce.

Więc sprowadziłeś go cieniu! Nie na darmo zapaliłeś dla mnie latarkę!

Dawno już spostrzegła, że w niepewności dłonie zawsze szukają ucieczki w wyuczonych gestach. Płukanie kufli jest jednym z tych zajęć, przy których nie męcząc się można oddać się rozmowie z kimkolwiek, wesołej, błahej, nieobowiązującej. To jest miłe zajęcie, no nie?

Co się nagle stało, że rozmowa ta zaczyna gubić się, grzęźnie... A tu nieszczęście! Dłonie skończyły zmywanie. Żeby wziąć się za coś innego, trzeba by odejść od lady, a nie można odejść. Nie można też ścierając kurz z półek odwrócić się plecami. Trzeba do końca przeżyć tę rozmowę, więc dłonie biorą się do pracy powtórnie, zmywają raz już opłukane szkło, a przecież jest dopiero ranek i piwa jeszcze się nie sprzedaje. Eee tam, dzisiaj może zdarzyć się wszystko!

- Nie smakowało panu? Może zrobię świeżej herbaty, ta już wystygła...

- Dziękuję, nie trzeba. ta czy inna, wsio rawno. Ja jestem niewymagający wypiję każdą, byle słodka.

- Z pana to byłby dobry mąż...

- Pewnie tak...

- To czemu pan jest sam?

- Za dużo byłoby gadania... A i tak niczego nie odmieni.

Nie tak powinien mówić. Kiedy powiedziała: „z pana byłby dobry mąż” - powinien popatrzeć na nią odrobinę dłużej, roześmiać się, spytać: „Tak pani mówi?”, czy odpowiedzieć na to innym pytaniem, „może i zbyć ją jakąś błahostką. Nie powinien mówić tak poważnie. Z takiego poważnego gadania nic dobrego nie wynika dla dziewczyny. Oznacza ono, że .ta, tutaj i teraz, niewielkie ma szanse. Jakby naprawdę ktoś, gdzieś na górze, przeznaczył mu inną kobietę, a teraz dawał właśnie jej znaki, coraz bardziej jawne, żeby się odczepiła, że to nie dla niej ten człowiek.

I po cholere tylko mydła ludziom oczy w telewizji, że dla młodych rolników nie ma żon, bo dziewczyny chcą do miasta. Pokazują różnych półgłówków, którzy ledwie przetrzeźwili od wczorajszego wieczora, dziś

dumni, że pan redaktor ich nagrywa, mówią, że nie musi być ładna,. byle była robotna. No I patrzcie, co za niesprawiedliwość spotyka tych kawalerów! Dziewczyny wolą być ładne niż robotne! Całe szczęście, że dla takich chamów brakuje dziewczyn

Ale sąsiada każda by wzięła, choćby i potem nieraz przyłożył. Ale on nie powiedziałby żadnej, nawet najbrzydszemu kocmołuchowi, że musi być robotna. Potem by się okazało, jaka by musiała być, ta jego żona, może by i ręce musiała urobić, tyłek nadstawić nie wiedząc, do bicia czy kochania, ale to ona sama tak by postanowiła, a nikt za nią w telewizorze... Nagłe odurzenie rozпалиło obrazy, niczym z gorącego płomienia wyrosłe, ale popiół osypywał się powoli przez ruszt, stygnąc, tak i ona stygła.

Milczenie przedłużało się. W brudne okna pustej knajpy wpadł promień słońca, niespodziewany i niepotrzebny. Nie zdążyła zetrzeć wszystkich stołów, zanim przyszedł i pełne petów popielniczki z wczorajszego dnia przypominały o wieczorze pełnym gwaru, pijackiego rozrabiania, koguciego puszenia się, wspominków i narzekań na baby. Także wtedy czuła się na swoim miejscu, potrzebna, piękna, najważniejsza ze wszystkich, szanowana.

Ale on miał to widać za nic. Wieczorami nie przychodził do gospody, czasami tylko zaglądał rano, jak teraz, zjeść śniadanie. Może w domu nic nie miał:, a może mu się cknęło. Nie rozmawiał z nią nigdy, dopiero dzisiaj... A i tak, byle zbyć.

- Może pani da mi jeszcze kawałek tej kiełbasy...

- Niech pan weźmie co innego, nie jest za świeża. Usmażę panu kotleta, dobrze?

Lubiła patrzeć, jak mężczyźni jedzą. W tym ich jedzeniu, jak w picciu i we wszystkim innym, co robili, była pewność siebie i zdecydowanie. Nie musieli wołać cieni, jak dziewczyny. Mogli opieprzyć, skląć i pobić. Tyle mieli sposobów na niepowodzenie. Nawet jak byli pijani, żaden nie widział swojej winy, tylko cudzą.

- Fajne ma pan okulary. Takie grube szkła i w dodatku ciemne - wszystko zasłaniają. Można sobie myśleć co się chce, a tego nie widać. Nikt nie powie: Co się tak patrzysz?

- To na specjalne zamówienie, te okulary. Nazywają się chromatyczne. Ciemnieją od światła. A wie pani, jakie są drogie?

Nie o to jej chodziło. Powinien powiedzieć, jak wszyscy, że dobremu człowiekowi zawsze można spojrzeć w oczy, a ona przekonałaby go, że nie jest tak, ja mówią wszyscy. Może powiedziałby jej, że on też tak uważa, jak ona - byłoby jeszcze lepiej. Mógłby powiedzieć, że ma słaby wzrok, odkąd w dzieciństwie za dużo ślęczał nad książką, a grubość szkieł nie cieszy go tak, jak ona myśli. Mógłby jeszcze powiedzieć mnóstwo rzeczy - a on wybrał najgorszą z nich. Też mi, nie jest głupia, wie co to są szkła chromatyczne i ile kosztują. Pierwszy we wsi ma takie szkła, ale ciotka jednej dziewczyny miała też podobne, nie takie grube, ale chromatyczne. I ta dziewczyna opowiedziała jej dokładnie, jakie to rzeczy ludzie ciągle wymyślają, między innymi i szkła chromatyczne. Podobno gdzieś są nawet całe takie szyby!

Musi spróbować zagadać jeszcze raz. Od siebie. Przynajmniej to jest winna cieniowi z latarką.

- Jeżeli by pan chciał, to mogę podać i piwa; jeszcze wcześniej, nikogo nie ma, wypije pan i nikt nie będzie wiedział. Nawet jeśli...

- Co to, to nie. Nie przepadam za piwem. I rano nie piję.

Spojrzał na nią uważnie, jakby dziwić się temu, co wygaduje, Bóg wie co o niej pomyślał, bąknął co pod nosem, naciągnął czapkę i poszedł. Mroźny wiatr zawirował na schodach, trzasnął i otworzył drzwi wucetu, zapach chlorku przypląnął t rozmył się między petami.

Kierowniczką zawsze na noc zamykała wódkę, ale klucz od pompy do, piwa zostawiała pod serwetką. Wielki kufel na czczo zawirował w głowie. Drugi spowodował kurcze żołądka. Ból nie mijał, tylko się odmieniał, wlaź w ręce i uda. Wyszło na to, że cień ją oszukał, a może ona nie zrozumiała o co mu

chodziło.

Wieczorem mokra od potu, uwijając się w swojej różowej sukience, nie przepuszczającej powietrza i dlatego niezbyt nadającej się do pracy w gospodzie, z niebieskim cieniem na powiekach, zamazanym już trochę i nieświeżym, pragnęła tylko rozplakać się w głos, wykrzyzczyć ohydne słowa pod adresem cienia, który ją zwiódł, skląć go najgorszymi słowami, właśnie takimi, jakie Franek rzucał kumplom opisując tę dziwkę, Mariolę.

Gdyby przyszło jej spojrzeć do lustra, dojrzałaby, że po raz pierwszy w życiu jest naprawdę piękna, ale nie miała czasu na takie bzdety, a nikt inny z gospody nie był zdolny tego piękna dostrzec.

Nigdy więcej nie mogła zrozumieć, jak to się stało, że tego wieczora kłęła razem z Frankiem tę Mariolę, śliczną zawsze i ubraną na tip top, że obiecała Frankowi być dla niego miłą po zamknięciu gospody, gdy pójdzie w piwnicy zakręcać piwo i że wreszcie, gdy ksiądz zgodził się na zapas wpisać do książeczki wszystkie nauki, których nie zdążyła wysłuchać zanim nie pękła koronka w sukience, w pasie, została jego żoną i przestała pracować w gospodzie.

Miała już troje dzieci i nieco przyciężką figurę, gdy samochód zjeżdżający od strony przełęczy rozświetlił latarkę w ręku cienia, ale szła wtedy patrząc po rowach, bo Franek nie wrócił do rana do chałupy i martwiła się, czy gdzie nie zamarzł. Nie była to jednak taka latarka jak wtedy - w ręku trzymała normalną, kwadratową, na baterię płaską. I nie cienie z latarką były jej w głowie.

Po południu najstarsza córka ćwiczyła w domu wiersze na konkurs - mówiła nauczycielka, że ma talent i może daleko zajść. Niskim, ochryplym głosem, tak dziwnym u trzynastoletniej dziewczyny deklamowała:

Moi państwo, spójrzcie jak kufle tu zmywam

I łóżka w numerach wam ścielę

Chętnie biorę napiwki i każdy z was tu zna mnie,

Ale o mnie wiecie wy niewiele...

Potem przerwała na chwilę, aż matka wystraszyła się, że ochrypła z nadmiaru przejęcia. Dreszcz przebiegł jej ciało, kiedy córka cieniutkim, wysokim głosem nagle zaśpiewała;

... Wtenczas okręt

O siedmiu żaglach

I czterdziestu armatach...

Franek odnalazł się; noc spędził u teściowej, ta zawsze kryła jego wyskoki. Najstarsza wyjechała już do szkoły. Do sklepu przywieźli wędzone kurczaki bez kartek. Ludzie mówili, że od pierwszego podwyższą ceny wódki. Najmłodszy miał czterdzieści stopni, więc owinęła go w koce i targała do przychodni, chociaż był już ciężki. W kiosku obok, na wystawie, leżaka książka, ale nawet nie przyszło jej do głowy, że zawiera wiersze, które mówiła córka. Od strony przełęczony wiał mroźny wiatr.